Nr. 11. Lwów, 1 czerwca 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

ZJAZD ŁOWIECKI.

W myśl uchwały Wydziału Towarzystwa odbędzie się zjazd łowiecki tegoroczny w dwóch dniach t. j. 24 i 25 czerwca. Dnia 24-go odbędą się obrady Zgromadzenia, które będą mogły być w razie potrzeby dokończone d. 25-go rano — dnia 25-go popołudniu odbędzie się strzelanie popisowe, jak zwykle na strzelnicy wojskowej. Wydział brał pod rozwagę poczynione przez członków ostatniego zjazdu uwagi co do zmiany w urządzeniu zjazdu i uznając w zupełności trafność uwag, odnoszących się do krótkości czasu, wyznaczył na obrady dwa poranki. Na porządku zjazdu łowieckiego znajdować się będzie sprawa związku towarzystw myśliwskich, sprawa upomnienia się u władz o energiczniejsze i skuteczniejsze przestrzeganie przepisów ustawy łowieckiej (ref. syndyka Dr. Sołowija), sprawa psów myśliwskich, w końcu sprawa zamknięcia rachunkowego funduszów Towarzystwa za r. 1899 i preliminarza za r. 1900. Jeszcze raz powtarzamy prośbę o jak najliczniejszy udział Członków w tym zebraniu.

Co się tyczy urządzenia strzelania popisowego rano, sprawa ta nie dała się po myśli żądań wielu członków ostatniego zjazdu załatwić i do czasu, póki Towarzystwo własnej strzelnicy mieć nie będzie, strzelania nasze, będą musiały, jak się zdaje, odbywać się popołudniu.

Regulamin strzelania, który zostanie w całej osnowie podany w numerze z d. 15. czerwca, różnić się będzie w następujących szczegółach od regulaminu zeszłorocznego, podanego w Nrze 13 „*Łowca*“ z r. 1899. Tylko strzelanie pierwsze tj. do tarcz stałych na 80 kroków będzie zarezerwowane dla członków i delegatów Towarzystwa łowieckiego — nie zaś jak w roku zeszłym strzelanie czwarte do tarczy ruchomej. We wszystkich innych strzelaniach mogą brać udział wszyscy. Używać nie będzie wolno sztućców tarczowych, tudzież sztućców z lunetami i gukierami, w końcu manlicherów systemu szybkostrzałowego. Zrobiono tu tę zmianę, że dozwolono strzelania z manlicherów myśliwskich.

Porządek strzelania będzie ułożony alfabetycznie według nazwisk uczestników — lub powierzony losom, w miarę tego, czy wiatr będzie taki, żeby zapędzał dym na linię strzelających.

Z tarcz ruchomych będzie przedstawiać jedna dzika, jednakże bez jamnika, druga lisa. Tarcze te będą podzielone na cztery części, z których numerem czwartym będzie oznaczona głowa łopatki, komora — numerem pierwszym zaś nogi, uszy etc.

W skład jury wchodzą pp. hr. Juliusz Bielski, jenerał Latscher-Lauendorf i Witołd Korytowski, jako członkowie, hr. Juliusz Tarnowski jako zastępca.

Kierownictwo strzelania i komitetu urządzającego strzelanie spoczywa w doświadczonych rękach p. prezydenta Korytowskiego.

Redakcya.

PSI TALIZMAN.

Dokończenie.

Że ułożenie kundysa nie jest nadzwyczajnością, ani miarą dobroci sposobu tresury, to zgadzam się, i dziwię się jeno, dlaczego p. Douillet okoliczność tę podnosi, skoro to jest bardzo łatwe do pojęcia, iż, wspominając o wytresowaniu na próbę kundysa, nie mogłem mieć nic innego na myśli, jak tylko wykazanie różnicy w stopniu inteligencyi między legawcem a danym kundysim osobnikiem. Wszak cyrkowcy, obok różnego rodzaju stworzeń niższego stopnia inteligencyi, tresują także psie pokurcze, czem nie dają wręcz dowodu doskonałości tresury, lecz wykazują jeno zdolność indywidualizowania, gdy potrafią danemu stworzeniu we właściwy sposób dać do zrozumienia, czego od niego wymagają, jednak mimo to stanu rzeczy zmienić nie są w stanie, bo wyżeł musi zostać wyżłem a pokurcz pokurczem...

Szanowny p. Douillet zapewnia, że nie chce polemizować w tej materyi, czyj sposób jest lepszy, a mimo to polemizuje, gdyż wyznając, że tresura „*par force*“ nie jest jego wynalazkiem, twierdzi zaraz, że ona „jedynie jest odpowiednią“ i dodaje, iż ja również „zupełnie nie chcący“, to samo potwierdzam. Dlaczego niechcący? Czyż ja jestem małem dzieckiem, które w niewinnej swej szczerości wypowiada częstokroć to, czego powiedzieć nie chce? Skądże taka brzydka myśl? Wszak, jak przypuszczam, p. Douillet jest osobą poważną, której imputowanie dziecinności byłoby z mej strony — niechby już tylko lekkomyślnością. Myli się p. Douillet, skoro przypuszcza, że wskazanie różnych stopni, w celu zmuszenia upartego psa do aportowania, jest dowodem, jakobym o praktyczności mojej metody wątpił. Owszem, sposoby te podyktowała mi niczem niezachwiana pewność, że nie każdy pies, jak to raz już miałem sposobność wypowiedzieć, da się ułożyć jednym i tym samym sposobem. To upoważnia mnie do twierdzenia, że tresura „*par force*“ w niektórych wypadkach nie dość, że skutku nie odniesie, ale nawet okaże się wręcz zgubną. Na dowód niechaj służy przykład.

Przyjąłem raz do wytresowania wyżła staroniemieckiej rasy, bardzo powolnego, z obwisłemi wargami i krwawiącego ogonem przy każdej sposobności polowania w kukurudzach lub krzakach, co naprowadza mię na domysł, że najprawdopodobniej staroniemiecka rasa musiała spowodować Niemców do ucinania wyżłom ogonów. Na szczęście przyjąłem tego psa do tresury z grzeczności i bezinteresownie, bo nie był moją własnością; w przeciwnym bowiem razie, gdyby był moim, byłbym go niezawodnie, nie mając wówczas dostatecznego zasobu doświadczenia, jako niemożliwego do ułożenia, bezwarunkowo kazał zastrzelić. Wyżeł ten obok bezprzykładnej bojaźliwości okazywał, że się tak wyrażę, czysto barani upór do tego stopnia, iż nie było sposobu zmuszenia go, aby jakikolwiek przedmiot, choćby tylko przez chwilę, w pysku zatrzymał. Dopiero kość ugotowana w rosole i obszyta płótnem dokazała cudu, że wziął ją do pyska i zatrzymał dopóty, dopóki jej nie odebrałem i nie dałem w nagrodę za to poświęcenie kawałeczka chleba. Kość ta, później piłka i patyk, do którego skonstruowania, określonego poprzednio, pies sam mnie zniewolił, przynosząc patyk w taki sposób, jak gdyby trzymał cygaro w zę-

bach, wreszcie zastrzelony ptak, owinięty sznurkiem w celu, aby nastroszone pióra nie wywoływały u psa wstrętu; wszystkie te przedmioty, rzucane na przemian setki razy (lecz nie na jeden zawód) wpoiły mu pojęcie, że branie w pysk przedmiotów, rzucanych przezemnie i oddawanie mi tychże nie jest ani karą, ani też zabawką, tylko twardym obowiązkiem, który wykonać należy, aby sobie na pożywienie zasłużyć. W sposób wyżej określony zrobiłem z psa, o którym mowa, tak niezawodnego aportera, że do śmierci nie życzę sobie mieć lepszego, choć tresura jego nie przekraczała pięciotygodniowego przeciągu czasu, wliczając już w to i tydzień zanim go właściciel odebrał.

Jeżeliby opisany przykład nie przekonał p. Douilleta w kierunku, że przymusowa tresura nie zawsze jest odpowiednią, to niechaj go przekona Oberlaender, autor niemieckiego dzieła o przymusowej tresurze psów, które dla zacytowania źródła dopiero niedawno sprowadziłem. W tej chwili leży przedemną już czwarte najnowsze wydanie wspomnianego dzieła, które czytam i tłumaczę dosłownie, o tyle o ile władam niemieckim językiem, co następuje.

„Sztuka indywidualizowania, to znaczy obrobienia wychowanka (*Zögling*) odpowiednio do jego naturalnych pociągów i jego charakteru jest darem, od którego w najczęstszych wypadkach skutek jest zawisły. Ktoby bez względu na indywidualność wszystko w jedną formę lać, wszystkie psy na jeden grzebień ostrzydz zechciał, ten z pewnością nie uzyskałby nigdy sławy układacza (*Dresseur*). Ale, niestety, dar ten nie jest każdemu układaczowi wprost właściwy, a jeszcze mniej jest możebnem niedostatek jego wyrównać na drodze teorytycznej“.

Że moja metoda układania wyżłów styka się w niektórych punktach z tresurą przeprowadzaną za pomocą fizycznego przymusu, to nie moja wina, ani też zasługa i zapewniam, iż u nikogo nie zapożyczałem się. Zdaje się, że główna przyczyna tego podobieństwa leży w samem zachowaniu się naszych polskich wyżłów, które najprawdopodobniej muszą pochodzić, w bardzo dalekiej przeszłości, od jednego protoplasty, skoro przy tresurze okazują takie same właściwości, co i psy niemieckie, dla których Niemcy, w celu lepszego wrażenia im w pamięć wszystkich rygorów, których psy się nauczyły, odbywają jeszcze pierwszą, drugą, trzecią i czwartą naukę powtarzania (*Repetitionskreis*) na otwartem polu, co dowodzi, że psy niemieckie tak samo, jak polskie, zapominają czasem, lub też ociągają się wykonać jakiś rygor, który przedtem nienagannie wykonywały.

Z tego powodu i ja radziłem i radzę wracać do rygoru, który pies chętnie wykonuje, a następnie przechodzić do drugiego terminu, gdyż tylko przez częste ćwiczenie nabiera pies pojęcia, iż nietylko to, co sam chce, ale wszystko, cokolwiek nauczyciel mu rozkaże, musi być wykonane. A że i w tresurze „*par force*“ zdarzają się wypadki, że pies rzuconego przedmiotu podnieść nie chce, to o tem wątpić nie można, choćby z uwagi na własne słowa p. Douilleta: „jeżeli przeto pies nie chce wziąć w pysk rzuconego przedmiotu, biorę go po prostu na korale, prowadzę lub ciągnę, w razie potrzeby, do niego, pokazując i mówiąc „apport“. Jeżeli ja mam się męczyć i dręczyć psa koralami, to wolę wrócić do terminu siadania i wrazić mu pojęcie, czego od niego wymagam. Sądzę zatem, że wszystko, co ja i p. Douillet w odmienny sposób od psów wymagamy, nie jest niczem innem, jak tylko kwestyą zapatrywania się, bo cała różnica polega wyłącznie na tem, iż ja wywieram na psa przymus moralny, a p. Douillet fizyczny.

Dopóki p. Douillet przemawiał w swojem imieniu, dopóty widziałem się zniewolonym dawać mu stosowną odpowiedź, ale gdy zabrał głos w imieniu trzeciej osoby, mianowicie hr. A. Sumińskiego, to niechaj wybaczy, gdy powiem, iż mógłbym odmówić mu najzupełniej prawa w tym kierunku i przejść nad jego wywodami do porządku, chociażby tylko z tego względu, że nie wierzę bynajmniej, ażeby hr. Sumiński do przemawiania w jego imieniu zechciał upoważnić p. Douilleta. Ale ponieważ p. D. uwziął się widocznie przekonać łaskawych czytelników, że ja wszystko źle zrozumiałem, więc decyduję się odpowiedzieć i na zarzut, zrobiony mi w imieniu trzeciej osoby, ale tylko w tym celu, aby wykazać, że nie ja myśl hr. Sumińskiego mylnie pojąłem, lecz p. Douillet mój poprzedni artykuł z gruntu źle zrozumiał. I tak: kiedy cierpliwość, jaką hr. Sumiński zaleca jest potrzebną, to już określiłem w poprzednim artykule, więc powtarzać nie widzę potrzeby i na tem miejscu powiem jeno tyle, że przy tresurze pokojowej zamiast cierpliwości, byłaby wskazaną raczej wyrozumiałość, dająca możność należytego ocenienia, czy pies to, czego się od niego wymaga, dostatecznie pojmuje, lub nie, i czy w ogóle wykonać jest w stanie, zatem cierpliwość, która, wedle zdania p. D., dla systematyczności w postępowaniu ma być niezbędną, (chyba dla rozwikłania zaplątanego i silnie zadzierzgniętego węzła, gdzie systematyczność miejsca mieć nie może) ja uważam za zbyteczną.

Co się zaś tyczy słów hr. Sumińskiego „nie układaj nigdy psa gałgana“, to ja zrozumiałem je bodaj czy nie trafniej, niż p. D., czego dowodem są moje, w poprzedniej korespondencyi naprowadzone słowa: „Wprawdzie p. hr. Sumiński wskazuje na jedyną drogę do uniknięcia zawodu, bo radzi sprowadzać szczenięta z renomowanego gniazda“. Ale ponieważ droga ta całkiem pewnie do celu nie zawsze doprowadza, bo i z najlepszego gniazda wychodzą gałgany, (o czem sam się przekonałem, a ponadto powołuję się jeszcze na dzieło wyżej cytowane), więc przykładowo wyliczyłem psy, które ja za gałgany uważałem, przyczem przez zapomnienie opuściłem jeszcze jeden rodzaj, jaki przedstawia pies, nie okazujący najmniejszej pasyi do polowania, lecz manifestujący na widok ptactwa, jakoteż i zwierzyny czworonożnej niewzruszoną obojętność. Niemcy wydają na takie psy, o których wspomniałem, bez miłosierdzia wyrok śmierci, z czem i ja się zgadzam, ale dopiero w takim wypadku, skoro wszelkie próby w celu rozbudzenia w nich pożądanej myśliwskiej namiętności skutku nie odniosły i słabość wiatru niewątpliwie udowodnioną została. Miałem bowiem wielokrotne dowody, iż przy ocenieniu psich własności nie można być nigdy za dużo ostrożnym. W tym względzie niechaj daje dowód również jeden przykład.

Wyżeł hr. M. Tyszkiewicza, Laverack setter, nazwany Tago, który przez grzeczność bawił u mnie przez cztery tygodnie na świeżem powietrzu, lubo w początkach grzecznością nie odznaczał, bo na widok talizmana w postaci harapa śmiał się ze mnie, wyszczerzając groźnie zęby, wkrótce potem opamiętał się i przyjął maniery psa inteligentnego, a chcąc się wywdzięczyć za poprzednią gburowatość, słuchał, jak żołnierz komendy, chodził prawidłowo i pracował w polu bardzo pilnie. Jedynie tylko pompą dawał tak liczne dowody słabego wiatru, iż mimo

wstrzemięźliwości w wydawaniu dorywczego sądu, nie wahałem się orzec, że pies ten w omawianym kierunku dobrze nie domaga, a przecież omyliłem się! Dowiedziałem się bowiem później, ku miłemu rozczarowaniu, iż Tago odznaczył się bardzo dobrym wiatrem. Widocznie musiał być u mnie zakatarzony, lub też — czy ja wiem jakie tajemnice miewa matka przyroda do dyspozycyi.

Omawiając poprzednio sprawę psich gałganów, postawiłem wyraźnie i zupełnie jasno sformułowane pytanie. „Więc gdzież ta typowa wada, dla której wyżła nazwać można gałganem?“ w nadziei, iż może kto z czytelników określi bliżej te wady, które ja w ciągu mojej praktyki łowieckiej zauważyć nie zdołałem. Wobec poprzedniego, o ile przypuszczam, dla każdego czytelnika całkiem zrozumiałego pytania, wyłania się teraz drugie. Kto źle zrozumiał, czy ja myśl hr. Sumińskiego, czy też p. Douillet mój poprzedni artykuł? Na to pytanie zechcą łaskawi czytelnicy sami sobie dać odpowiedź.

Szanowny p. Douillet przyznaje mi wprawdzie słuszność, że harap przy tresurze jest bardzo potrzebny, lecz myli się grubo, przypuszczając, iż pies przezemnie ułożony i po skończonej tresurze wymaga ciągle widoku harapa, gdyż słowa moje poprzednio skreślone: „przy tresurze, jakoteż i potem“ ograniczają konieczność noszenia harapa wyłącznie tylko przy tresurze pokojowej i w początkach pierwszego pola, gdyż dopóki pies nie nauczy się, w polu chodzić dobrze, nie można uważać tresury za skończoną. Dlaczego zaś noszę harap w czasie układania wyżła, to już powiedziałem pierwej i dziś to powtarzam, że uważam go za jedyny talizman, który psa przed częstem karaniem ochrania i dlatego nie dziwię się, że p. D. każe psu w pierwszem polu nosić korale, które, wedle zdania p. D., harap znakomicie zastępują, są dla psów u p. D. w tresurze będących, również talizmanem, acz nieco więcej psa drażniącym, niż harap, wiszący na ręce. Dowodem tego niechaj będzie opinia wzmiankowanego autora niemieckiego dzieła o tresurze psów, który o koralach wyraża się następująco: 1 „Przy pociąganiu ześlizgują się ku głowie. 2. Ranią wisiory (uszy) i stają się przyczyną przewlekłych chorób wewnętrznego przewodu słuchowego“. Więc aby szkodliwym następstwom, spowodowanym użyciem korali, zapobiedz, odrzuca pomieniony autor korale, jako niepraktyczne, i radzi używać przez siebie wynalezionej, specyalnie do tresury przeznaczonej obroży, z którą ja niedawno miałem sposobność zapoznać się dopiero z rysunku, lecz wątpię, czy zdecydowałbym się kiedykolwiek na jej używanie.

Omawiając dalej z oburzeniem psi talizman pod postacią harapa, powiada p. Douillet, że pies po skończonej tresurze powinien i bez „widoku harapa służbę poprawnie wykonywać, przyczem twierdzi stanowczo: „a tego li tylko tresura „*par force*“ dokaże“.

Przedewszystkiem dziwię się niezmiernie, jak można postawić tak stanowcze twierdzenie, nie mając wprzód wręcz przeciwnego dowodu. Wątpię bowiem bardzo, czy p. D. widział kiedykolwiek, jak chodzi pies przezemnie ułożony. Ale ponieważ tego, co się raz wyrzekło, cofnąć już nie można, a ja znowu poprzednio twierdziłem, że pies przezemnie ułożony „nie zatraca prawie nigdy przyswojonej umiejętności“, więc kwestya spełniania psiej służby przedstawia się jasno w tym kierunku, że ja i p. D. nie zgadzamy się na tym punkcie w naszych zapatrywaniach. Gdy jednak zgoda zwykle bywa pożądaną, a ja z panem Douilletem szczerze pogodzić się pragnę, więc proponuję na rozjemcę między nami Oberlaendera, bo nie wątpię bynajmniej, że on oblewając obu swoją opinią, niby zimną wodą, z pewnościa nas pogodzi. W kwestyi spornej utrzymuje Oberlaender, iż nie widział psa młodego, któryby po skończonej tresurze chodził w pierwszem polu całkiem bez błędu, rozumie się, nie biorąc wyjątków w rachubę, dalej, że każdy pies, chociażby był jak najlepiej ułożony, zepsuje się nieochybnie, gdy jest zaniedbywany i źle prowadzony i to bez różnicy, czy pochodzi z rasy mieszanej, czy też pełnej krwi.

Wobec tego nasuwa się mimowolnie pytanie; w co obróci się teraz na pozór wspaniały i na niewzruszonym fundamencie wzniesiony gmach twierdzenia p. Douilleta? Gdy gmach ten pod naciskiem opinii wyżej nazwanego autora w gruzy się rozpadnie, (według mego przekonania musi runąć bez ratunku), to ciekawy jestem w jaki sposób wycofa się p. D. z pomiędzy gruzów, skoro zapomocą, apodyktycznego twierdzenia zatrzasnął za sobą wrota bez możności wyjścia? Ażeby kto nie powiedział, że i ja podobny gmach wystawiłem, to już naprzód ośmielę się przypomnieć, iż przy pomocy słówka „prawie“ wybudowałem go tylko w części, gdyż na pokrycie dachem zabrakło mi potrzebnej ilości monety doświadczenia, przeto wykończenie byłem zmuszony odłożyć na później.

Jeżeli p. Douillet nie widział nigdy psa mojego i nie ma dowodu, z jakim skutkiem psy układam, to można zapytać, na jakiej podstawie wydaje sąd potępiający? Zechce może powiedzieć, że widział psy tresowane w inny sposób, a nie metodą „*par force*“, czemu chętnie uwierzę, bo i ja widziałem bardzo dużo psów źle tresowanych w różny sposób (nawet metodą „*par force*“), ale to mnie bynajmniej nie zniewala do zaniechania mojego sposobu układania, bo mam niezłomne przekonanie, iż, jeśli ktoś nie umiał psa jakąkolwiek metodą dobrze utresować, to nie system temu winien, lecz nieudolność układającego. Za dowód niechaj służy także przykład.

Jest tu w Brodach stary i doświadczony myśliwy p. E. Simon, który ma wyżła settera, nazwanego Ren. Ponieważ ten pies był i jest nadzwyczaj bojaźliwy, więc chlebodawca jego przyswoił mu tresurę pokojową w ten sposób, że rozmawiał z nim łagodnie jak z człowiekiem, bo już nie karcenie, ale samo lekkie podniesienie głosu, wywoływało u niego taki przestrach, iż natychmiast z ócz się usuwał i krył, gdzie mógł. A że obowiązki zawodu nie pozwalały p. Simonowi wydalać się z miejsca, więc zaproponował mi, czy nie zająłbym się wprowadzeniem wspomnionego wyżła w pierwsze pole. Nie mając chwilowo własnego psa, przyjąłem propozycyę, oczywiście z radością, ale rozumie się tylko „z grzeczności i bezinteresownie“. Wprawdzie miałem z nim trochę ambarasu, zanim się przekonał, że harap, który w pierwszem polu zawsze noszę, jest dla niego właśnie talizmanem, a nie jakiemś strasznem narzędziem tortury. Wkrótce potem okazywaliśmy sobie wzajemnie niekłamane przywiązanie i szczęśliwie, z wyjątkiem małoznaczących nieporozumień, przebyliśmy pierwsze pole bez zatargów. Dziś właściciel psa chodzi z nim sam na polowanie, a chociaż nigdy harapa nie nosi, pies bynajmniej się nie zepsuł, lecz chodzi dalej tak, iż do najlepszych wyżłów śmiało zaliczyć go można. Przytem muszę jednak zauważyć, iż gdyby kto do nauczenia tego psa sztuki aportowania użył był ko-

rali, to zaręczam, że pies byłby się zepsuł i nie dał ułożyć.

Skoro w kraju nie mamy dużo psów dobrych, to przyczyna złego — zdaniem mojem — tkwi nie tyle w braku odpowiednio rutynowanych ludzi, umiejących psy tresować, ile raczej w braku tych, którzy potrafią na polowaniu dobrze psa prowadzić, czemu znowu wcale dziwić się nie można, skoro się weźmie na uwagę, że nasza literatura łowiecka wykazuje, jeśli się nie mylę w tym kierunku bodaj czy nie czyste pole. Skądże młodzi myśliwi mają nabyć tej umiejętności, do której tylko długoletnia praktyka doprowadzić może. Jeżeliby ktoś na wskazanem polu próżną lukę wypełnił, to wątpić nie można, że oddałby myśliwym bardzo wielką przysługę i spowodowałby to, iż nawet te psy, jakie w kraju mamy, nie powiększałyby, lecz owszem zmniejszały ciągle kontyngent gałganów.

W dalszym szeregu zaprzeczeń narzuca mi p. Douillet twierdzenie przy pomocy słów: „Również myli się p. Kisielewski twierdząc, że tresura „*par force*“ nieodzownie wymaga zamkniętej ubikacyi do nauki“. Ponieważ podobnego twierdzenia nigdzie nie wypowiedziałem, więc pozwoli szanowny p. Douillet, że mu tej insynuacyi kategorycznie zaprzeczę. Jeżeli autor powyższego twierdzenia wywnioskował je ze słów moich „prawie bez wyjątku“, skreślonych w poprzedniej mojej pracy, to niechaj przyjmie do wiadomości moje oświadczenie, że nie mogę, choćby dla uniknięcia rozwlekłości, dodawać w nawiasie przy pierwszem lepszem słowie właściwej definicyi, jak na przykład w tym wypadku, że przysłówek „prawie“ znaczy tyle, co „nie zawsze“.

Zarazem chlubi się p. Douillet tem, że udziela lekcyi w swej kancelaryi, (więc w zamkniętej ubikacyi) jednemu psu w tym samym czasie, kiedy drugi leży spokojnie i przypatruje się. Że to prawda wierzę bardzo, gdyż to samo praktykowałem u siebie kilkanaście razy, zatem nie wątpię, że p. D. potrafi wykonać taką samą sztukę, jaką ja w czasie pobytu mojego w Bełzie w polu dokazałem. Oto, polując z trzema psami naraz, zrobiłem spostrzeżenie, że psy przez zazdrość wzajemnie sobie przeszkadzały, bo do sekundowania żadnego psa nie układałem. Aby zapobiedz gorączkowaniu się, kazałem dwom psom leżeć na miejscu spokojnie, a sam, oddaliwszy się na kilkaset kroków, polowałem z trzecim. Z tego zechce może p. D. nabrać przekonania, że takiego posłuchu nietylko tresura „*par force*“ nauczyć może, ale i metoda z pomocą moralnego przymusu to samo potrafi, bo cała różnica występuje na jaw jedynie w kierunku, że u p. Douilleta wymuszają na psach posłuch drażniące korale, u mnie zaś sprowadza ślepe posłuszeństwo chroniący psy przed karą psi talizman.

Co się tyczy wymagania, ażeby pies chodził koniecznie za lewą nogą, to zostawiam je p. D. zupełnie do woli, mimo, iż tresura niemiecka to samo przestrzega. Ale ponieważ nikt na udowodnienie konieczności w tym względzie nie podaje żadnych w rzeczywistości ważnych powodów, więc pozostaję przy mojem poprzedniem twierdzeniu, że tego rodzaju wymaganie jest u mnie czysto rzeczą gustu.

Na zarzut p. Douilleta postawiony mi w mglistej sferze domysłu, jakobym tresury „*par force*“ nie znał „wyczerpująco“, odpowiadam krótko. Poznałem już bardzo dawno staroniemiecką tresurę „*par force*“, polegającą na głodzeniu psa, zamykaniu go w ciemnym lokalu i dławieniu go w polu przy pomocy kilkanaście łokci długiego sznura zadzierzgniętego w pętlicę na psiej szyi, która tak psu dolegała, iż zaledwie tempo biegu przyspieszył, stawał zaraz ksztusił się i kaszlał, przyczem dostawał sporą wiązankę kijów od swojego chlebodawcy. Tresury tej nauczył mnie czeski Niemiec, Stiebal i wzbudził lekcyami, udzielanemi psu w sposób powyższy taki wstręt we mnie, żem tego sposobu tresury nigdy w życiu nie próbował. Natomiast z nowszą metodą zapoznałem się znacznie później z książki, ale także korzystać z niej nie chciałem, mimo, że ma ona swoje jasne i ciemne strony. Do jasnych zaliczam sposoby, jakimi psu pojęcie każdego rygoru wrazić nakazuje, do ciemnych zaś — według mego zdania — należą: udręczenie, jakie pies w czasie tresury przebywać musi, zbytnia rozwlekłość nauki, wreszcie i to, że umiejętne zastosowanie jej do psów wymaga niemal specyalisty. Jeżeli oprócz wspomnionego sznura rozchodzić się będzie p. Douilletowi jeszcze o „różnego rodzaju linewki“, to niechaj wybaczy, skoro mu na to osobiście nie odpowiem, lecz odeszlę go do przeczytania z uwagą pracy hr. A. Sumińskiego, umieszczonej w „*Łowcu*“ Nr. 14 z roku 1899 pod tytułem: Tresura wyżła, a tymczasem poproszę jeszcze raz p. Oberlaendera, aby jako najbardziej kompetentny, wyłożył p. D. rodowitym swoim językiem znaczenie i cel linewek, a to:

a) Kurze Leine etwa bleistiftdick und 2 M. lang;

b) Die längere Leine in der Stärke wie die obige, jedoch 4 M. lang;

c) Die Feldleine, jedoch in der Länge von 20 M.

Jaki cel mają te linewki, to już p. Douillet, jako fachowy znawca tresury „*par force*“ może potrafi odgadnąć, tembardziej, skoro sama nazwa trzeciej bardzo jasno cel jej określa. Jeżeli p. D. żadnych linewek nie używa, to niechaj nie dziwi się, że jego sposobu tresury „*par force*“ zrozumieć nie mogę.

Sposób, jaki podaje p. D. przy wprowadzaniu psa do wody, znam z praktyki, jak niemniej obcy mi nie jest i ten, jaki hr. Sumiński podaje; więc dla zaokrąglenia podam jeszcze jeden, który również pożądany skutek odnosi, mianowicie: rzucanie głodnemu psu kawałków chleba na wodę.

Moralny przymus, jaki na psa wywieram, nie stanowi bynajmniej — jak to p. D. z gruntu mylnie utrzymuje — harap, lecz, jeszcze raz powtarzam, że przymus ten wywieram na psa za pomocą rygorów: naprzód! nazad! i t. d. Harap zaś nosze wyłącznie jako talizman dla wyżła jedynie w tym celu, aby go nie bić, gdyż ze wszystkich gatunków psów, jakie w życiu mojem poznać miałem sposobność, wyłącznie tylko wyżeł wziął w dzierżawę całe moje przywiązanie. Wszelakoż mimo to, że noszę harap, muszę zaprzeczyć twierdzeniu p. Douilleta, jakobym noszenie harapa komukolwiek zalecał, choćby przez wzgląd na przykład, jaki przytoczyłem o psie p. Simona.

Dlatego też robiłem różne próby w kierunku, aby zdobyć doświadczenie, jakim sposobem można wyżła podporządkować własnej woli, tak aby mu jak najmniej wyrządzić przykrości. Cel ten osiągnąłem, dzięki dość długiemu szeregowi wyżłów, które u mnie przebywały, jakoto: Psów własnych miałem ośm, a „z grzeczności i bezinteresownie“ układałem około dwadzieścia; więc przypuścić można, że naturę i nawyczki wyzlów muszę znać przynajmniej w takim stopniu, jak i p. Douillet, mimo, iż

on układał, jak to z jego wyrażeń domyślać się można, same psy rasowe, a ja miałem do czynienia także z mieszańcami, przyczem jednak zauważyć muszę, że w liczbie wyżej przytoczonej znajdowały się, zapewniam uroczyście, także psy niewątpliwej rasy, acz nie zawsze moje. Co p. D. rozumie pod wyrazem „inteligencya", tego nie wiem i to tylko jest pewne, to wywody jego o talencie i inteligencyi wcale mnie nie przekonały, choćby tylko dlatego, że talent może się rozwinąć tylko w pewnym jakimś kierunku, zaś inteligencya musi zostać wszechstronną. Ale ponieważ polemika w tym względzie do żadnego konkretnego celu doprowadzić nie może, a mnie brak słów na subtelne określenie definicyi w mowie będącego wyrazu, więc powtarzam to samo, co już poprzednio powiedziałem, że inteligencya u psów może, lecz nie musi być wrodzona, gdyż rozwija się przeważnie na gruncie nauki, to znaczy, że jej później nabyć można, na co dowodem niechaj będzie to, że i pomiędzy kundysami trafi się okaz, który zmyślnością przewyższy pudla, a między rasowymi psami bywa często gałgan.

Szanowny p. Douillet twierdzi, że ja w poprzedniej mej pracy wydałem okrzyk, który go, ku mojemu ubolewaniu, niezmiernie przeraził, mianowicie:

„Dajcie mi pieniądze, a ja wam pokażę". Imputowanie mi słów z prawdą zupełnie niezgodnych, jakich w moim artykule nigdzie nie użyłem, uważam poprostu za chęć obałamucenia czytelników, gdyż skreśliłem owe straszne słowa w następującym porządku: „Dajcie mnie pieniądze!" to znaczy: niechby stosunki moje były tego rodzaju, żebym bez trudności mógł pewną kwotę znaczniejszą na ten cel poświęcić — a ja założę gniazdo psów, z którego i t. d.

Kreśląc powyższe słowa ani mi przez myśl nie przeszło, aby ktoś na cel założenia psiego gniazda w rzeczywistości d a w a ł mi p i e n i ą d z e i nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem mógłbym się znaleść w takiej sytuacyi, aby mi wogóle ktokolwiek pieniądze mógł ofiarować. Okrzykiem tym „dajcie mi pieniądze" chciałem tylko zaznaczyć, iż gdybym był człowiekiem niezawisłym i majętnym, to nie oglądałbym się na nikogo, lecz sprowadziłbym psy rasowe i założyłbym gniazdo psów na własne ryzyko, bo, zapewniam uroczyście, że eksperymentowanie w tym kierunku za d a n e p i e n i ą d z e pozostawiam innym.

S. Kisielewski.



O psach włóczęgach,

jako głównej przyczynie niskiego stanu zwierzyny na Podolu

i o niezawodnym środku na zaradzenie złemu.

Zwyczaj trzymania wielkiej ilości psów przez chłopów na Podolu, bez potrzeby widocznej sięgać musi bardzo odległych czasów. I zdaje się musiał przyjść ze wschodu wraz z jeńcami i osadnikami tatarskimi.

Dziś kiedy bezpieczeństwo publiczne wzmogło się, a gospodarze po wsiach nie są narażeni na rabunki i kradzieże, jak to były dawniej, pies jako stróż domowy stracił na wartości. Jest rzeczą prawie zbyteczną i tylko wyjątkowo może oddać w tym kierunku przysługę mieszkańcowi wsi. Bo choć i dziś kradzieże nie są wyjątkami, to jednak pies temu nie zapobiegnie, gdyż najczęściej kradzieże popełniają mieszkańcy tej samej wioski, dobrze z psami zaznajomieni. Pomimo, że pies, jako stróż domowy, w gęsto zabudowanych wsiach dzisiejszych, strzeżonych przez warty nocne i patrole żandarmów stracił racyę bytu, zamiłowanie do trzymania psów przez włościan, dzięki wkorzenionej tradycyi nie ustało; ustał tylko zwyczaj karmienia psa jako zwierzęcia bezpożytecznego. Gdy tylko podrośnie cokolwiek szczenie i przestanie być zabawą dzieci gospodarza, nie troszczy się więcej nikt o to, czy pies głodny. Staranie o zaspokojenie głodu pozostawia się psiemu rozumowi. Pies wiejski prędko przyzwyczaja się do tej na pozór niemiłej sytuacyi, bo chociaż czasem głodem przymiera, to jednak w zamian ma wolność i jest zupełnie niezależnym, niczego od niego się nie wymaga, być też może, że z pogardą patrzy nieraz na dworskie brytany dobrze żywione i pielęgnowane, ale z łańcuchem na szyi. Raz jednak w roku i o wiejskim kundlu gospodarz na Podolu nie zapomina i przez powróz zaraz ukróca jego wolność, trzymając go dzień i noc na uwięzi. Czas, w którym wszystkie psy na wsi bywają przywiązywane, jest znakiem, że kukurudza zaczyna dojrzewać. Psy na Podolu, pozostawione przez swoich panów samopomocy, doszły przez instynkt zachowawczy do przeświadczenia, że młoda kukurudza, chociaż w stanie surowym, daje wyborną i smaczną karmę; w czasie więc, gdy takowa dojrzewa z całym zapałem obłamują zębami kaczany, a dostawszy się do soczystej szalki, zjadają ziarna z apetytem, jaki mieć może tylko wiecznie głodny pies wiejski.

Dbały chlebodawca bojąc się, by jego stróż i obrońca nie dostał niestrawności z przejedzenia, zapobiega temu, biorąc go na łańcuch i trzyma tak długo, dopokąd kukurudza nie dojrzeje zupełnie.

W tym to czasie piekielne wycia i skomlenie słychać we wsiach podolskich. Biedne psiska pozbawione naraz wolności i pożywienia, przypięte bez ochrony na spiece lamentują bez ustanku.

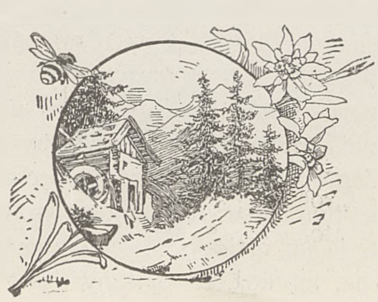
Chociaż mieszkam w oddaleniu od wsi i nie jestem członkiem Towarzystwa ochrony zwierząt, to jednak nie raz noc mija mi bezsennie w czasie tej ogólnej psiej niewoli. Żałosne skomlenie i przeraźliwe wycia mogą bowiem i najobojętniejszego pozbawić snu. Gdy kukurudza dojrzeje, gospodarz uwalnia psa swego na rok cały i nie troszczy się o tegoż więcej; wtedy to hulaj dusza, pies dzień i noc ugania po polu i stara się wszelkiemi sposobami głód zaspokoić. Dawniej było i psom lepiej, dziś i na nich przyszły ciężkie czasy, postęp bowiem i cywilizacya utrudnia warunki bytu. Nie tak to dawno, bo stare psiska jeszcze pamiętają, gdy padł koń lub bydlę we wsi, gospodarz wyciągał po zdjęciu skóry padlinę gdzieś blisko wsi, do rowu, i głodne psy miały na kilka dni zapusty — dziś trochę inaczej. Padlinę zakopują na osobnych ścierwiskach daleko od mieszkań, a chociaż, nie czynią tego ściśle podług ustawy, bo zawsze nogi bydlęciu sterczą nad ziemią. to jednak już nie jestto to, co było; trzeba robić podkopy, by się dobrać do mięsa; nie zawsze to się udaje i pies napracowawszy się nieraz ciężko, odchodzi głodny i zmęczony. Łatwiej więc szukać pożywienia w polu lub w lesie, bo i przyjemność większa i smaczniejszą karmę można znaleść. Psy wiejskie najczęściej są mieszańcami tej rasy, jaką dwór trzyma, a że na Podolu trzymają w wielu dworach charty, (także po większej części dla tradycyi), więc podolskie kundle, pokurcze chartów, prędko z zającem dają sobie radę; mieszane z legawych tropią natomiast za młodemi zającząkami, za gniazdami kuropatw, przepiórek i wszelkiego ptactwa; doprawdy dziwić się trzeba, że przecież zając i kuropatwa nie zniknęły zupełnie z tych błogosławionych okolic. Temu ciągłemu plondrowaniu psów po polach i lasach nic nie może zapobiedz a najmniej ustawa taka, jaką dziś mamy. Strzelanie bowiem do psów odnosi zamierzony skutek tylko w takiej okolicy, gdzie wyjątkowo znajdzie się włóczęga we wsi, zaś w której pod każdym numerem jest pies, a nie rzadko są i dwa, włóczące się dzień i noc po polu, i strzelanie nie pomoże. Wiem to z doświadczenia, że po zabiciu kilku psów, reszta pozostała, staje się ostrożną i z daleka pozna tego, kto na życie ich nastaje; łatwiej podejść lisa niż takiego psa, nie mówiąc już o tem, że w nocy jest to niepodobieństwem. Przytem jeżeli tylko właściciel psa zabitego wniesie skargę do sądu, z reguły sąd skarze tego, który psa zabił, tak przynajmniej praktyka nas uczy. Co więcej, dziś robi się z tego sprawę karną o złośliwe zniszczenie cudzej własności. Najnowsze orzeczenie Trybunału państwa w sprawie zastrzelenia psów p. Frieblinga przez p.Ranieckiego w swoim rewirze, podtwierdziło oba wyroki I. i II. instancyi. Trybunał oparł się na ustawie łowieckiej z d. 26 marca 1898 r., która pozwala strzelać tylko psy „włóczące się“ i „nie mające pana“ i to w oddaleniu 300 metrów od kwestyonowanego rewiru (!) *Słowo Polskie*, z którego tę wiadomość zaczerpnąłem dodaje, że jest to pierwsza jasna (!!) interpretacya ustawy łowieckiej, która położy tamę strzelaniu psów przez złośliwych sąsiadów.

Dziś więc widząc psa, goniącego zwierzynę w moim lesie, nim go wezmę na cel, muszę się spytać: czyj ty? czy twój pan jest z tobą? i w jakiem oddaleniu jesteś od niego, a jeżeli jesteś sam czy rewir twego pana jest od tego punktu, w którym cię przydybałem więcej jak trzysta metrów oddalony? wreszcie czy jesteś lub byłeś karany za włóczęgostwo? Jeżeli pies na te pytania nie zechce mi dać odpowiedzi a tylko machnie ogonem i pogoni dalej, to lepiej zrobię, gdy pospuszczam kurki i wrócę do domu.

Jest jednak lepszy i radykalniejszy sposób niźli strzelanie do pozbycia się biedy, mniej morderczy a jednak w skutkach donioślejszy i więcej niszczący choć z pozoru łagodny i zgodny z duchem czasu, mogący przynieść wielkie korzyści dla kraju i dla całego społeczeństwa. Środkiem tym jest opodatkowanie wszystkich psów. Gdy chciano zniszczyć przemysł w Galicyi, opodatkowano go należycie, no i środek ten okazał się dobrym, czyżby nie dało się tego zastosować i do psów? Opodatkowanie takie zmusiło by chłopów do pozbycia się niepotrzebnie trzymanych psów, skazanych na ciągłe włóczenie się po lasach dla wyszukania sobie pożywienia. podatek zaś od psów, trzymanych z potrzeby, utworzyłby nowe źródło dochodu dla funduszu, i przypuszczam, że nie spotkałby się w Sejmie z opozycya.

Zmniejszenie liczby psów wpłynęłoby dodatnio na podniesienie się stanu zwierzyny a przez to i bogactwa kraju jakie zwierzyna bez kwestyi przedstawia. Ustałyby wtedy troski czy do Galicyi sprowadzać zające z Czech wagonami, czy pędzić pieszo; skąd wziąść kuropatw do rozpłodu. Nasz szarak nie maltretowany bez ustanku przez wiejskie kundle, pilnowałby lepiej ogniska domowego i liczniejszego przez to mógłby się doczekać potomstwa; kuropatwy i inne ptactwo gnieździłoby się spokojnie bliżej ludzkich siedzib, bo z kotami łatwiej się uporać niż z psami. Już samo zmniejszenie wypadków wścieklizny powinno być w tej sprawie decydującem, z ubytkiem tysięcy psów źle pielęgnowanych bardzo rzadko mogły by się trafiać wypadki pokąsania przez wściekłe psy. Projekt ten dążący do usunięcia psów niepotrzebnych ma ogólno-ludzkie doniosłe znaczenie. Chodzi tylko o to, czy zechcą się tem zająć ludzie do tego powołani.

Leon Starkiewicz.



KORESPONDENCYE.

Wysuczka, 15. maja 1900.

Bardzo skąpe są relacye tegorocznego ciągu słonek, a chcąc pod tym względem zasilić wiadomościami z tych stron szanownego „*Łowca*“, donoszę, że u nas w Borszczowskiem w tym roku ciągi były zupełnie dobre.

Nie pomnę w którym to roku prosiłem braci w św. Hubercie, aby na wiosnę ochraniali słonkę i z nagonką na nią nie polowali tylko na ciągu; prośbą moją wywołałem polemikę w naszem czasopiśmie, a kategorycznie przeciwnego zdania był hr. Leopold Starzeński, twierdząc, że to ptak przelotny, którego nie zabiję ja, to go zabije mój sąsiad. Argumentami tymi przekonał mnie a najwięcej przekonała mnie ustawa łowiecka z roku 1898, która nawet nie raczyła zwrócić uwagi na tego pięknego ptaka i nie obdarzyła go czasem ochrony. Polowałem tedy z nagonką i na ciągu.

W dniu 28. marca pokazały się pierwsze słonki a na raport o nich zarządziłem na dzień 29. marca polowanie z nagonką i spotkanych cztery, padły od czterech strzałów.

Co dnia odtąd polowałem na słonki; czterech myśliwych i 12 chłopców, oto cała drużyna codziennego polowania. Między tymi czterema mój syn piętnastoletni, dla którego nie było przeszkód; ani deszcz, ani błoto po osie sięgające, ani zimno, ani wiatr nie odstraszały go, a ja widząc w nim rozbudzoną pasyjkę, nie tamowałem jej, tylko dzieliłem wszystkie przykrości wiosennych eskapad do lasu, z którego powrót po nocy ciemnej do przyjemności żadną miarą zaliczyć nie można.

Z nagonką polowałem w ten sposób, że dwóch myśliwych szło jedną stroną miotu, a dwóch drugą była więc flanka ruchoma, która strzelała słonki na boki wymykające, w ten sposób odbywały się polowania bez przerwy do dnia 13. kwietnia i ubiliśmy 71 sztuk. Syn mój zabił 9 słonek, radość też jego nie miała granic.

Przy radości była i przykrość wielka i łza w oku, a w następstwie katzenjammer dni parę, lecz ktoby go nie miał, mając lat 15 i śrut słomczy w lufie, a tu na 5 kroków wielki odyniec, jakby na złość powoli linię przechodzi, był czas przypatrzeć mu się i podziwiać piękne szable, aby tem więcej potem odczuć żal i do ojca, że poradził wziąć dubeltówkę, a odradzał brać drylinga.

Najpiękniejsze polowanie mieliśmy na dniu 11. kwietnia; w dniu tym w trzech godzinach polowania było 25 słonek na rozkładzie.

Pan Adolf Korpak ubolewa w korespondencyi z dnia 5. kwietnia nad tem, że sarny giną w tym roku i że przyczyny tego dociec nie można.

Zdaje mi się, że przyczyną tego jest druga za łagodna zima. Oziminy, nie przykryte śniegiem, nęciły zwierzynę, która się napasała zmarzniętą rośliną i dostawała przeciwnych parlamentowi austryackiemu przypadłości i te je ze świata zmiatały masami. U mnie w Zagrobeli znaleziono 93 sztuki nieżywych, nie licząc tych, które ginęły w gąszczach niewidziane. Żal było patrzeć, jadąc niejednokrotnie liniami, jak tu i owdzie leżała sarna, lub kozioł dogorywający i nie mogący się ruszyć; skrócenie mu życia z Pipera było dobrodziejstwem. Znalezione nieżywe sztuki kazałem zakopywać, albowiem według orzeczenia weterynarza, choroba w wysokim stopniu zaraźliwa. Weterynarz wprawdzie zaordynował środki na to, a mianowicie nacieranie zimną wodą i koce, ale leczyć sarny podług tej recepty tylko chyba nasz c. k. weterynarz potrafi, ja nie próbowałem i próbować nie myślę. Sarny u mnie karmione koniczyną, sianem i suszonym na zielono liściem dębowym, lizawek mają podostatkiem i to wszystko nie uchroniło je przed tłumną emigracyą na tamten świat; widocznie tam innego rodzaju epidemia być musi i św. Hubert zarekwirował sobie stąd pewną ilość tych miłych stworzeń. Żal mi sarn moich, do których doszedłem przy pomocy łaskawych sąsiadów hr. Baworowskiego z Ostrowa i W. Serwatowskiego z Bucniowa, prawdziwych myśliwych i wielkich przyjaciół zwierzyny — gdyby wszędzie w kraju sami tacy byli, nie byłoby narzekań w „*Łowcu*“ na przykre łowieckie stosunki ze względu na sąsiada.

Zagrobela nie wielki las, bo tylko 869 morgów, lecz graniczy z Ostrowem i Bucniowem, dwoma rewirami, gdzie sarna nie spłoszona, zając i kuropatwa chroniona przed szkodnikami, których się masami bije i tu mogę z własnego doświadczenia podzielić w zupełności zdanie Dra Sołowija, odpowiadającego na korespondencyę p. Gołębskiego. Lud nasz zżyma się, oburza i pamięta jakiś czas wyrządzoną mu krzywdę przez zabicie psa, lecz wiedząc, że na to ustawa pozwala, uszanuje ją i nie wchodzi z nią w kolizyę. W pierwszym roku mego pobytu w Zagrobeli zapłaciłem gajowym strzałowego za 80 nosów psich, w drugim roku już tylko 30 i tak stopniowo umniejszało się, że obecnie na rok 5—6 do 10 psów tylko ginie. Lud nasz sprawiedliwy przytem i umie ocenić zdrowym rozsądkiem słuszność od robienia mu na złość. Miałem dwa psy domowe doskonałe do pilnowania domu i te wypełniwszy swoją nocną służbę, rano wybierały się na polowanie; wyjechałem raz o 4-tej rano na podjazd, a usłyszawszy gon w lesie przyspieszyłem jazdę i palnąłem obydwa moje psy, lud to widział i swoje psy na uwięzi trzymał. Były, przyznam, i nieprzyjemności, ale te się przebyło, ludzie przyzwyczaili się do uszanowania woli ustawy. Nie przeczę, że i p. Gołębskiego projekt jest dobrym, bo oparty na znawstwie psychologicznem naszego ludu, którego nic tak bardzo nie boli, jak wydanie z węzełka kilkudziesięciu centów, lecz aby mu tę przykrość wyrządzić, potrzeba mieć inny wymiar sprawiedliwości, trzeba mieć nie austryacką procedurę polegającą tylko na dopełnieniu formalności i trzeba mieć sędziów . . . .
. . . . W obecnych stosunkach idąc za radą p. Gołębskiego, trzebaby utrzymywać pewną ilość oprawców, którzy łapaliby żywcem psy po polach i dopiero właścicielowi złapanego psa trzebaby udowadniać świadkami sąsiadami, że to pies jego i, nareszcie, gdyby mu się to udowodniło, skazany byłby na grzywnę 50 centów.

Pomnę korespondencyę jednę z „*Łowca*“, w której opisany jest wypadek, że przychwycono kłusownika z zabitym zającem, żandarm zająca wziął jako corpus delicti, a przeprowadziwszy rewizyę, skonfiskował strzelbę,

a że było udowodnionem, że zając był strzelony śrutem, dowód był oczywisty; sędzia uwalnia chłopa, który powiedział, że zająca znalazł, a strzelbę mu oddano, albowiem nie można było dowodu dostarczyć, że on tą a nie inną strzelbą zająca zabił.

Mimo tylu wybitych psów w Zagrobeli, miałem u ludu mir i nie mogę powiedzieć inaczej, tylko że mnie kochają i żadne posiedzenie rady gminnej nie odbyło się w domu pod nieobecność moją.

Czarkowski-Golejewski.

Niemirów, w kwietniu.

Minęło już czasu sporo od chwil uwidocznionych na moich obrazkach; sprawozdawcy skrzętniejsi odemnie już mnię uprzedzili w podaniu rezultatów wspólnie odbytych polowań; chciałem nawet zupełnie zaniechać niniejszej korespondencyi, lecz gdy dziś spędzony z pola, po przerwanej siejbie, liczyłem przez szyby płatki białe w najlepsze się goniące przy podmuchach Boreaszowych synów — przez zemstę względem tej zalotnicy wiosny, która nas dotąd tak chłodno traktuje, wróciłem pamięcią do mniej urodziwej, lecz za to stale wiernej nam zimy.

A jednak i ta była prawdziwie ładną w czasie komierowskiego polowania w połowie stycznia b. r. odbytego. Bo rozumiem już taką zimę, ze sporą warstwą śniegu na polach, z malowniczą okiścią po lasach i 12-tu stopniami mrozu. To jest przynajmniej charakter zdecydowany. Wtenczas i myśliwi inaczej się ruszają i zwierzyna pomyka, co się zowie. To też żwawe bardzo były i koty i śliczne mioty leśne, a szczególnie nam dodawał animuszu i ciepła popas południowy, przez panie łaskawie urządzony. Niełatwo się nawet było od niego oderwać, czego dowodem, że gdy drugiego dnia na pobliskie oparzelisko zapadło kilka kaczek, jeden się tylko znalazł niestrudzony ochotnik. To też, gdy po chwili p. H. D., przyniósł efektownym dubletem ubite dwie cyranki, dostał mu się poklask ogólny. Tło Komierowa i gościnność gospodarstwa jego pozostały bez zmiany, powtarzać się więc pod tym względem nie będę. Rozkład był jeszcze bardziej urozmaicony niż w roku zeszłym, liczyliśmy 325 zajęcy, 3 rogacze, 1 lisa, 1 bażanta, 2 cyranki, jedną sowę.

Wprost stamtąd zdążyłem jeszcze na drugi dzień polowania w Ulicku; lecz tu odwilż, błoto, śnieg brzydki, taki marcowy. Jeżeli mimo to jednak w 6 strzelb zabiliśmy 5 lisów i 31 zajęcy, to dlatego, że tych ostatnich, najbliższy mój sąsiad ma ilość, której mu pozazdrościć muszę, a zaś co do pierwszych, chciałbym się od niego nauczyć kunsztu nielada, aby na każdego z gości sprawiedliwie po jednym mykicie wypuszczać, nie wątpię, że gdyby nas było 12-tu tyleż lisów zdobiłoby rozkład. Okazuje się jednak, że do różnych dodatków, którymi się obecne polowania z komfortem urządzone poszczycić mogą, brakuje jeszcze pewnego ulepszenia. Oto lis strzelony nad brzegiem, zrulował mi do strumyka leśnego, wezbranego wskutek tających śniegów. Ten złośliwy swawolnik zwinąwszy mą zdobycz w bezkształtny płowy kłębek, porwał ją i unosił jak swoją — zdumiony tą zuchwałością, opuściłem



Ulicko.



Komierowo.

stanowisko i biegnąc wzdłuż brzegu, próbowałem perswazyi przez nawoływanie wszystkich świętych Hadesu — bezskutecznie. Nie pomogły fortele, trzeba było śmiałym skokiem w nurty wezbranej rzeki (no — nie głębokiej wprawdzie) dowieść przewagi człowieka nad wrogimi żywiołami. Wnoszę, że zaopatrzenie myśliwych, w coś nakształt składanej siatki na motyle, mogłoby być zbawiennem w podobnych wypadkach.

Niestety był brak śniegu i na Jaworowskim pikniku. To też pierwszego dnia do śniadania dość cicho w kniei. Po posiłku, już z samej natury rzeczy poprawiły się nieco humory. Po pierwszym miocie — nie zmienialiśmy stanowisk — rozeszła się od ust do ust wiadomość, że padł dzik, spokojnie od strzału. Wycinek ten jednak miał braciszka więcej burzliwego, który w następnem pędzeniu uderzył na prawe skrzydło, tam powitany gradem kul, z których każda mniej zuchwałego byłaby położyła na



Jaworów.

miejscu, przedefilował gąszczem wzdłuż centrum, którego obrońcy po kolei, napróżno strzelby przykładali do twarzy, słysząc przed sobą prawie każde stąpnięcie — wreszcie na lewym krańcu śmiałą szarżą zdobył jednę pozycyą śrótem tylko bronioną, a gdy zachęcony powodzeniem, atakował następne stanowisko, poległ wreszcie bohatersko, rażony na kilka kroków.

Zaczęły się opowiadania, tłumaczenia i komentarze, a że biedak był faktycznie naszpikowany kulami, stąd różne dociekania i protesty. Urozmaicało nam to resztę dnia, gdyż w kółku interesowanych wzmagały się co chwila gorące i wesołe dysputy, a że ostateczny pogromca, miał na swoje poparcie jedyną mizerną kulę — podczas gdy współpretendenci coraz to nowe i liczne przytaczali argumenta, mącąc tryumf tamtego, w końcu więc kwestya wikłała się coraz bardziej, aż wszyscy pomęczeni na „sztrozakach“ pokotem spać się pokładli.

Dnia 20. stycznia r. b. na polach Dzwinogrodzkich w kociołkach w 14 strzelb, jednak z powodu wielkiej grudy, co dużo pudeł powodowało, ubito tylko 57 zajęcy.

Ciąg słonek tak w jesieni, jako też na wiosnę był bardzo słaby, i śmiało mogę powiedzieć, że takich dwu po sobie następujących ciągów w moim myśliwskim zawodzie nie pamiętam.

Pierwszy rzut zajęcy wskutek mrozów i śnieżycy w marcu przynajmniej w połowie przepadł, albowiem znajdywano dużo młodych zajączków w polu nieżywych.

Sarny przezimowały u mnie bardzo dobrze, słyszę jednak od moich sąsiadów, że u nich ginie dużo na gruźlicę.

Kuropatw, jak się pokazuje, jeżeli klęski elementarne i źli ludzie nie staną na przeszkodzie, powinno być dużo, albowiem znajdujemy dużo więcej parek, niż w minionych latach, i gdyby nie kłusownictwo i łagodne karanie tych złoczyńców, moglibyśmy mieć świetny zwierzostan.

Dzików mieliśmy tego roku bardzo mało a z powodu braku śniegu nie urządzano polowań na takowe, ubito tylko przy psach 6 sztuk warchlaków.

Hej — niema to jak swobodna myśl i dobry humor polowań, i wspomnienia wesołych epizodów!

Krusenstern.

Staresioło, dnia 14. maja 1900.

W jesieni mieliśmy dwa większe polowania, w których brał udział J. E. Hr. Roman Potocki ze swymi dostojnymi gośćmi.

Dnia 27. listopada z. r. w lesie, w 12 strzelb w 9 miotach, ubito 8 rogaczy, 72 zajęcy, 7 lisów.

Dnia 29. listopada na polach kurowickich przy niesprzyjającej pogodzie, również w 12 strzelb, ubito 90 zajęcy, 2 lisy.

Dnia 23. grudnia r. z. polowaliśmy w lesie i krzakach gminnych w 14 strzelb, w 8 miotach ubito 2 rogacze, 40 zajęcy, 5 lisów.

Lisów pomimo, że ich tępimy bezustannie, ubito bowiem tychże w przeciągu jednego roku w jednem rewirze sztuk 43, jest jednak jeszcze dość dużo; nie ma więc obawy, ażeby ród lisi wyginął.

Wilhelm Beer, delegat.

Rabka.

Przez zbieg okoliczności, w tym samym numerze „*Łowca*“ z 1-go marca b. r., w którym p. hr. A. Sumiński pisze w swej rozprawie o sarnie, że polowanie z psami na sarny już „dzisiaj prawie nie istnieje“, znajdujemy zwięzły i dokładny artykuł o polowaniu z psami, przez p. Dra Jana Zdunia.

Odnośnie do ustępu „z psami“, rozprawy p. Sumińskiego, dorzucę i ja kilka uwag.

Dla rozprawy tej, ze znajomością przedmiotu napisanej, byłoby może lepiej, gdyby autor był opuścił ten cały ustęp, jest w nim bowiem wiele błędów, które dowodzą, że p. Sumiński nie zna dokładnie polowania z psami, do czego się zresztą przyznaje w słowach: „choć mało bardzo z psami polowałem, choć nic nigdy więcej nie zabiłem, jak jednego lisa i zająca, polowanie to zawsze mnie bardzo bawiło“.

Gdyby p. hr. Sumiński był napisał tylko, że polowanie to jest ładne i zabawne — nie ośmieliłbym się krytykować tego ustępu — skoro jednak wypowiada w dalszym ciągu kilka zdań w sposób dosyć apodyktyczny — pragnę, z poczucia obowiązku myśliwskiego — sprostować to, co za błędne uważam.

I tak, nie zgadzam się ze zdaniem szanownego autora rozprawy, że „polowanie to istnieje tylko w górach, gdzie nowoczesne myśliwstwo nie dotarło“. Są w górach myśliwi, którzy polowanie nowoczesne znają bardzo dobrze, a mimo to na swoim terenie polują — z psami.

Polowanie takie w równinach i okolicach pagórkowatych jest istotnie szkodliwe dla zwierzyny i niepożądane dla sąsiadów, w górach jednak wysokich, pokrytych gęstymi młodymi lasami jest nietylko ładne, ale i racyonalne.

Polowanie z nagonką w takich górach jest bardzo kosztowne, nudne a często wcale nie do wykonania. Mioty ogromne, teren trudny — jary, potoki i przepaści nie pozwalają na równe posuwanie się nagonki, która chociaż użyjemy jej trzy razy tyle, co w równinie, zawsze znaczne potworzy przerwy i zbije się w końcu w kilku miejscach, gdzie przejście jest łatwiejsze.

Przytem wobec mniejszej ilości zwierzyny w wysokich górach, polowanie z nagonką, wiem to z własnego doświadczenia, jest zwykle bez rezultatu, kiedy przeciwnie polowanie z psami, przy dobrym (jak na góry) stanie zwierzyny i przy należytym prowadzeniu daje zawsze zadowalniające rezultaty.

Ze zdaniem autora, „iż polowanie to nie jest na dzisiejsze stosunki, dlatego, bo każdy chce dużo strzelać a mało się męczyć“ sądzę, także zgodzić się nie można. Prawdziwy myśliwy, jeżeli polowanie jest ładne i zajmujące, na trud zważać nie będzie, czego liczne dowody składał sam szanowny autor.

P. hr. Sumiński mówi w swej rozprawie, „iż sarna goniona przez psy — małe robi obroty — a sarnik idzie bardzo daleko“.

Miałem nieraz sposobność obserwować sarny przed psami i sprawdziłem, że sarna, ruszona przez psy, idzie często ślepo naprzód, podczas gdy rogacz uwija się w miocie, kryje się w gąszczach, nadsłuchuje i na myśliwych wyjść nie chce. Po strzale, naturalnie chybionym, idzie istotnie bardzo daleko.

W końcu powiada autor rozprawy, iż „rzeczą jest dowiedzianą, że polowanie z psami niepokoi sarny“ (na to zgoda, ale polowanie z nagonką niepokoi je także) i „że gdzie się da mieć stałe sarny — to o polowaniu z psami i mowy być nie może“.

Z twierdzeniem tem nietylko się nie zgadzam, ale mam odwagę zaprzeczyć temu stanowczo, bo mogę moje twierdzenie poprzeć dowodami.

I tak u sąsiada mojego w Rabie wyżnej, bardzo zamiłowanego i dbałego o zwierzostan myśliwego, jest stan sarn bardzo dobry, chociaż przy polowaniu na zające — sarny przez psy bywają niepokojone.

I ja u siebie poluję zawsze z psami, a mimo to w rewirze „Panice“, gdzie przed czterema laty zaledwie kilkanaście sarn było, jest ich dziś na 400 morgach do 60 sztuk, chociaż w r. 1899 zabiłem przed psami 11 rogaczy.

Sprawdziłem również, że już na drugi dzień po polowaniu wracały sarny do miotu, w którym zwykle przesiadują.

Polowanie z psami wcale nie wpływa źle na stan sarn, jeżeli nie poluje się w jednym i tym samym rewirze zbyt często (czego przecież i z nagonką robić nie należy) jeżeli pilnuje się starannie, aby psy samopas nie goniły i nie niepokoiły ustawicznie zwierzyny.

Przy należytej opiece i racyonalnym sposobie polowania z psami — nie tylko można utrzymać stałe sarny — nie tylko nie zmniejszy się ich stan — ale z roku na rok powiększać się będzie.

Dr. Józef Kaden.

Tarnów, 14. maja 1900.

Polowanie na cietrzewie w Nisku.

W tej okolicy, stanowiącej lwią część niegdyś sandomierskiej puszczy, prócz innych ptaków przeważnie błotnych, które jak Jeremiasz nad gruzami Jerozolimy — wywodzą żale nad dziś osuszonemi, przed 20 laty nieprzejrzanemi błotami — znajdują się w znacznej liczbie cietrzewie. Nie myślę o porównaniu mego opisu tego rodzaju polowania z opisem uskutecznionym niedawno przez ś. p. Spaustę, bo musiałbym całą plejadę pegazów przywołać na pomoc — ale w prostych słowach, bez pieprzu i animuszu myśliwskiego podać chcę do wiadomości P. T. czytelników „*Łowca*“ wrażenia z polowania na cietrzewie w kwietniu 1897 na tak zwanem „graniu“, względnie tokowaniu.

W końcu kwietnia 1897, gdy straż leśna w Przędzelu koło Niska doniosła, że czarne dzikie koguty na mokrych łąkach w lasach Przędzelskich odbywają harce; pojechałem z synem tamtejszego p. Starosty o godzinie 2 po północy do wskazanego miejsca, odległego 10 kilometrów od Niska. Cudna woń lasów sosnowych i urok budzącej się z zimowego letargu przyrody — uprzyjemniały krótką drogę, to też człek czuł się rześki i ciekawemi oczyma śledził pomykające drogami leśnemi sarny, szaraki a uchem łowił daleko odzywający się głos puchacza, a co najmniej puszczyka.

Wreszcie o godzinie 3 stanęliśmy u celu naszej podróży na drodze leśnej, odległej o 400 kroków od sali balowej cietrzewi, utworzonej z mokrej łąki około 20 morgowej, otoczonej do koła młodym lasem a z jednej szerokim kanałem, odwadniającym bagna Rudnickie i Przędzelskie. Pożegnawszy się wzajemnie na migi, rozeszliśmy się do porobionych z cetyny, t. j. gałęzi świerków, bud i z cichością motyla usadowiliśmy się na patykach, postawionych wewnątrz nich, a stanowiących krzesła z czasów przedhistorycznych. Wstrzymując oddech, oczekuję zlotu baletników, nie przeczuwających, że grot ugodzi tancerza cietrzewia wtedy, gdy amor całą siłą uczuć miłosnych go natchnął a wodzirej od kołomyjki najpiękniejszą dlań wymyślił figurę.

O godzinie 4-tej słychać wabienie skowronka drzewnego zwanego firlejem-figulusem, a dawniej ledwuchną (*alauda arborea)*, a za nim jak chór, kapłanów w Aidzie, zaczyna pieśń poranną zgraja cieciorek, wabiących na drzewach około łąki rosnących — głosy wabiących cieciorek coraz silniejsze, wreszcie cichną, samce zlatują i rozgoszczają się na łące, aby odbyć nasamprzód taniec z podlatywaniem a następnie oddać się właściwej uroczystości t. j. graniu, któremu towarzyszy zgięcie szyi ku ziemi, rozłożenie ogona kształtu liry i opuszczenie skrzydeł na wzór wabienia naszych domowych indyków. Myśliwy, oczekujący w budce, czeka aż cietrzew zbliży się w prysiudach na odległość strzału. Emocya olbrzymia — trudno utrzymać równowagę, krew silniej pulsuje, bo chwila tokowania cietrzewi jest nader zajmująca, a polowanie na koguty rzadkie. Wezwałem na pomoc św. Huberta z prośbą o wylanie idealnego kubła wody na głowę i uspokojenie nerwów — prośba odniosła skutek — zmierzyłem do najbliższego koguta na odległość 60 kroków, wypaliłem — ptak został a z nim pozostali także zdrowi koledzy-cietrzewie, które w najlepsze ignorując dany strzał, oddawały się miłosnym obrzędom.

Czekałem tedy na innego koguta, wtem z szybkością błyskawicy wylatuje z pomiędzy wysokiego drzewostanu jastrząb olbrzymich rozmiarów i uderza na grające koguty, które przestraszone wizytą tak niebezpiecznego inspektora, dają drapaka i lecą ponad mojem schronieniem nie tracę czasu, w jednej chwili odwracam się, palę w lot i otrzymuję order św. Huberta pod postacią drugiego, pięknego koguta, którego na pamiątkę miłego polowania kazałem wypchać i ten dziś stanowi ozdobę mego pokoju. Pierwszy kogut bardzo czarny, z olbrzymia lirą — wedle zdania myśliwych leśniczych — młodszy od drugiego został wypchanym w kształcie tokującego na drzewie, co jest o tyle praktyczniejszem, że go można bardzo wygodnie umieścić na ścianie. Wypchania dokonał w sposób artystyczny i do natury nader zbliżony p. Marcin Onderka w Krakowie, przy ulicy Długiej zamieszkały.

Gdy polowanie na cietrzewie z dniem 20. maja dobiega końca, powiat tarnowski nie posiada cietrzewi a biurowe zajęcia nie pozwalają mi jechać tam, gdzie są cietrzewie i przyjaźni ludzie, którzy zapraszają, aby na ołtarzu bogini Dyanie złożyć ofiarę z czarnego koguta — niech przynajmniej reminiscencyami z lat ubiegłych podzielę się z kolegami po rusznicy.

Dr. Eugeniusz Wojnarski.

Gąsówka o. p. Jasło, 12. maja 1900.

Może zechce szanowna Redakcya podzielić się z czytelnikami „*Łowca*“ dosyć oryginalnym wypadkiem, jaki miałem 6-go b. m.

Po południu, w bardzo piękny dzień słoneczny, obserwowałem z ogrodu przez dłuższy czas lisa myszkującego po polu zasianem owsem, w odległości około 500 kroków, i powziąłem myśl podejścia go i ubicia.

Teren nieco falisty, otoczony młodym laskiem, i szczere zajęcie się lisa polowaniem, pozwoliły mi z ostrożnością obejść go prawie do około; zająwszy najbliższe mu stanowisko, w odległości około 200 kroków w krzakach na kraju pola, wyczekiwałem możliwego zbliżenia się lisa na strzał. Po chwili gorączkowego oczekiwania zaczął rzeczywiście mykita zbliżać się w moim kierunku. Widząc jednak, że może niestrzelany dostać się do krzaków, gdyż zaczął zmieniać dyrekcyę, strzeliłem na odległość około 100 kroków, lecz źle trafiony zdołał po strzale ujść w krzaki.

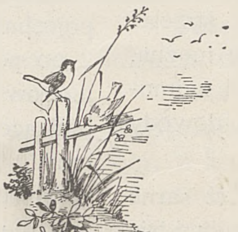
Nie wiele myśląc, przeciąłem mu drogę zbiegłszy nad potoczek, gdzie sądziłem, że będzie przechodził — i rzeczywiście po kilkunastu sekundach, poturbowany pierwszym strzałem, wolno nadszedł mi na kilkanaście kroków, gąszczem i drugi nabój przerwał już w zupełności pasmo jego żywota.

Zbliżywszy się do niego, zastanowił mię brak futra w szerokości 3 palców na około całego jego tułowia w pachwinie powyżej bioder; po bliższem zbadaniu spostrzegłem, iż biedaczysko był już w różnych opałach, gdyż miał silnie na sobie zaciągniętą kulkę drucianą, która się mu głęboko wpiła, — w dwóch trzecich częściach drut już był zarośnięty skórą i zabliźniony, częściowo zaś widać było goły drut i ranę jeszcze niezabliźnioną.

Dodaję, iż była to stara suka, obecnie karmiąca młode.

Podziwienia więc godną jest ta nadzwyczajna siła żywotna tego szkodnika, który przez zaciśniętą kulkę drucianą potrafił jeszcze urodzić młode, — gdyż zabliźnienie drutu wskazywało, iż musiała się przed oszczenieniem t. j. co najmniej 4 miesiące temu w sidła dostać. A trzeba ją było widzieć myszkującą, jak zręczne skoki robiła, widocznie więc, kajdany te, już ją zupełnie nie żenowały. Lecz „co ma wisieć, nie utonie“, i tak biedne młode nadarmo wyczekują powrotu mamy z polowania.

Władysław Biesiadecki.



Z Towarzystwa św. Huberta.

Dnia 26. maja odbyło się walne zgromadzenie tego towarzystwa w sali kasyna miejskiego we Lwowie. Największe to z naszych Towarzystw myśliwskich w kraju, bierze żywy udział w sprawie podniesienia łowiectwa w kraju i sprawozdanie, którego treść podajemy niżej, świadczy o zabiegach Zarządu towarzystwa czynionych w interesie spraw ogół łowiecki żywo obchodzących.

Sprawozdanie zawiera na samem czele opis starań, jakie gal. Towarzystwo łowieckie poczyniło w sprawie zmiany § 41. i § 84. ust. łow. i przytacza w całości petycye, wniesione w tej sprawie do Sejmu. Opisawszy także rezultat tych petycyi mówi sprawozdawca:

„Konkluzya tego wszystkiego: „*Nec Hercules contra plures*“!... I jeżeli Członkowie naszego Towarzystwa na tegorocznym zjeździe łowieckim nie zjawią się jak jeden mąż, aby tam, a następnie w Sejmie sprawę popierać, gal. Towarzystwu łowieckiemu nie wyrażą słów uznania za „już“ i nie poproszą o „jeszcze“, w takim razie nie wolno nam wyczekiwać pomyślnego wyniku naszych gorących, dotychczasowych zabiegów“.

Z postulatów, przekazanych Wydziałowi do załatwienia uchwałami zeszłorocznego Wal. Zgromadzenia, wykonano wszystkie, a w szczególności:

a) Zarządzono sporządzenie 100 sztuk odznak z godłem Towarzystwa według artystycznego projektu Towarzysza Znaku, Wł. Godowskiego;
b) wprowadzono do regulaminu obowiązek noszenia przez członków rzeczonych odznak na wszystkich polowaniach Towarzystwa;
c) uchwalona przez Walne Zgrom. kwotą 100 K. na kupno premii dla III-go Zjazdu łowieckiego, została we właściwym czasie zrealizowana.

Z główniejszych czynności własnego zakresu działania przytacza sprawozdanie następujące:

1) W zastosowaniu do nowego statutu i nowej ustawy łowieckiej, dokonano kodyfikacyi wszystkich trzech działów regulaminu Towarzystwa. W pracy tej uwzględniono wszystkie w ciągu długiego szeregu lat uchwalone przez Wydział zasady, rygory, prawa i obowiązki. Regulamin ten, będący obecnie pod prasą, został doręczony członkom na Walnem Zgromadzeniu. Z ważniejszych — a już na tegorocznem zebraniu obowiązujących postanowień, podaje sprawozdanie do wiadomości:

a) że dla utrzymania się w prawach członka, jest jego obowiązkiem deklarować się co najmniej na jeden kniejowy i na jeden luźny rewir;
b) iż dotychczas praktykowany zwyczaj przystępowania do rewirów z udziałami częściowymi, n. p. z $^{3}/_{4}$, $^{1}/_{2}$ lub $^{1}/_{4}$ w miarę odbytych już polowań, został zniesiony.

2) Z syndykiem fundacyi Skarbkowskiej załatwiono finalnie sprawę zwolnienia Towarzystwa od zakontraktowanego obowiązku opłacania 400 K. rocznie za dozór polowań przez fundacyjny personal. Dotyczącą klauzulę w kontrakcie z mocą obowiązującą trzy lata wstecz, na podsta- poprzednich rezolucyi Centr. Administracyi podpisały obie strony.

3) Na dalszy okres czasu zadzierżawiono w tym roku prawo polowania na obszarach rustykalnych gmin: Doroszowa, Koszelowa i Rozwadowa.

4) Z dzierżawcą folwarku Porszna, wygrało Towarzystwo w dwóch instancyach proces o odszkodowanie w kwocie 648 Kor. za zniszczenie ziemiopłodów przez dziki rzekomo w nagórzańskiej kniei przebywające. Obecnie sprawa ta oparła się o ministerstwo rolnictwa.

5) Drugi spór zaszedł z nowonabywcą dóbr Leśniowice, który za 14-to dniowem, a nie półrocznem wypowiedzeniem, usiłował odebrać Towarzystwu prawo polowania tamże. Sprawę wygrało Towarzystwo i dopiero z dniem 1. maja straciło Towarzystwo tę idealną kniejkę. Sprawozdanie wyraża żal, bo knieja ta przysparzała kasie Towarzystwa dosyć monety i zasilała wykaz ubitej zwierzyny znaczną cyfrą myśliwskiego łupu.

Obszary rustykalne rzeczonej gminy pozostają w użytkowaniu Towarzystwa do dnia 1. sierpnia 1903 roku.

6) Zarząd Towarzystwa miał w tym roku dość kłopotów z wnoszeniem skarg na kłusowników i stawaniem na terminach w Starostwach i Sądach. Straże terenów Towarzystwa schwytały w tym sezonie 10-ciu kłusowników i tyleż odebrano strzelb. Strzelby te złożono we właściwych Starostwach; Sądy zaś: lwowski, mikołajowski, stryjski, winnicki i żydaczowski zajęły się wymiarem sprawiedliwości byłym posiadaczom tych rusznic. Mianowicie ukarano: trzech — trzymiesięcznem więzieniem, czterech — dwu do sześciotygodniowym aresztem, a trzech — kilkudniowym aresztem.

Z powyższego, jak również z cyfry 964 sztuk ubitych drapieżników wynika, ze w tym kierunku postąpiono już bardzo naprzód. Wyrazem coraz racyonalniejszej gospodarki, z którą krom tępienia kłusownictwa szkodników i drapieżników łączy się podawanie karmy zwierzynie i solanek — jest wykaz ubitej w tym roku zwierzyny. A trzeba zważyć, że i nieszczególne w ubiegłym sezonie bywało pole do łowów i, że o kilkunastu członków mniej, niż zwykle, brało udział w polowaniach.

W omówieniu poszczególnych kniej sprawozdanie ogranicza się tym razem na Smorzu i Turce.

Otóż na rykowisku w górach strzelano do 9-ciu jeleni — ubito tylko dwa; (trzeci padł z ręki kłusownika). Z liczby strzelanych jeleni, niemniej i relacyi p. Galińskiego wynika, że stan tego szlachetnego zwierza jest wprost świetny! Ostatni list p. Galińskiego z 5. b. m. opiewa, że widziano w jednym rudlu na polu 11 grubych sztuk. Łowczy tamtejszy, p. Piegłowski, obawia się już teraz, że posypią się skargi o wynagrodzenie szkód, wyrządzanych tam przez jelenie.

Co do Turki, tej perły rewirów Towarzystwa o której bez myśliwskiego dreszczu rozkoszy wspomnieć się nie da, z żalem prawdziwym zaznacza, że prawo polowania w tej kniei ustaje już z dniem 15. września 1901 roku.

Jakkolwiek zadzierżawianie polowań należy do samoistnego zakresu działania Wydziału, to jednak ze względu na wysokość tenuty dzierżawnej tego rewiru, ostate-

czną decyzyę w tej sprawie pozostawiono Walnemu Zgromadzeniu.

Dalsze czynności Zarządu i Wydziału, oprócz załatwienia 83 referatów, kilku okólników, licznych przypomnień, urgensów, dalej załatwionych przez kasę rachunków, uskutecznionych wypłat i poborów — ujawniają załączniki sprawozdania.

Dokładny stan funduszów i majątku Towarzystwa ilustrują cyfry zamknięcia rachunków, inwentarza i wykazu kaucyj.

„Stan naszych potrzeb — mówi sprawozdanie — przedstawia preliminarz; ilość ubitej zwierzyny użytecznej i szkodliwej właściwy wykaz; liczbę członków czynnych, dotycząca lista.

A jednak prócz cyfr, trzeba i słów trochę, dla wyjaśnienia, z jakiej racyi mniejszy niż w r. z. mamy zapas kasowy, z jakich powodów domaga się preliminarz podwyższenia udziałów w niektórych rewirach, wreszcie co wpłynęło na zmniejszenie się liczby członków?

Odpowiedź krótka: §. 41. ust. łow. jest owym złym duchem!....

Bezwzględny zakaz polowania w niedzielę i święta, zniewolił 3-ech naszych członków do wystąpienia z Towarzystwa, 2-ch wyczekujących, jak kania deszczu, zmiany postanowień §. 41., wzięło urlopy; 2-ch (niezależnie od tego paragrafu) wyrwała śmierć z naszych szeregów; 5-ciu — zależnie zaś od postanowień §. 10 u. 2. statutu, uznał Wydział za stosowne zwolnić z godności członków.

Prosty więc rachunek, że skoro wraz z 4-ma nowo przyjętymi, z liczby 69, zeszliśmy razem z urlopowanymi na 57, czyli na mniej o 12-tu członków, toć zniżka kasowego zapasu i preliminowane podwyższenie niektórych udziałów — same przez się usprawiedliwiają; odpada dochód z udziałów 12 członków, wynoszący co najmniej 800 koron.

Mimo chwilowo mniej pomyślnych konjunktur, spowodowanych nieszczęsnym przepisem §. 41. u. łow., obecny Wydział ustępuje z rzetelnem przeświadczeniem, że gospodarował dobrze; pozostawia bowiem nie długi, (wzorem innych pokrewnych Towarzystw), lecz krom rzeczywistego majątku w kwocie 4.033 K. 80 h, zapas kasowy w kwocie 1.056 K. 90 h. czyli łącznie mienie w sumie 5.090 K. 70 h.

Kto ufa cyfrom — a radzimy się z tem liczyć — bo onemi przemawia wielce około naszego dobra zasłużony Mąż a minister finansów naszych, Szanowny nasz Towarzysz p. Alfred Dzikowski — ten widzi, że Towarzystwo nasze stoi na silnych podwalinach. Zresztą rzeknie może coś o tem Szanowna komisya rewizyjna, która w komplecie zebrana, załączone tu rachunki gruntownie badała.

Na tem kończymy nasze sprawozdanie z oświadczeniem, że ustępujący Wydział nie pozostawia swym następcom ani jednej niezałatwionej sprawy“.

Cyfra ubitej zwierzyny jest poważna, bo wynosi 3.882 sztuk, w tem zaś 964 zwierza i ptactwa drapieznego.

Z zamknięcia rachunków Towarzystwa dowiadujemy się, że dzierżawa polowań kosztuje 2162 zł. dozory tych polowań 965 zł., karma dla zwierzyny 318 zł. rocznie. Na „tępienie“ szkodników, kłusowników etc. preliminuje Towarzystwo na r. 1900/1901 kwotę 250 koron.

Obrót kasowy Towarzystwa wynosił 4774 zł., z czego pozostała na rok następny nadwyżka 528 zł.

Po udzieleniu wydziałowi absolutoryum z rachunków i dyskusyi w kwestyi opłat w poszczególnych rewirach dla członków, wybrano nowy zarząd, na którego czele stanął po raz czwarty p. Seweryn Krogulski, pracujący z wielkim pożytkiem w Towarzystwie św. Huberta, jakoteż w gal. Towarzystwie łowieckiem. Także i cały wydział pozostał w dotychczasowym składzie.

Sprawy Towarzystwa.

Członkowie Towarzystwa otrzymali uprzejme zaproszenie do wzięcia udziału w popisowem strzelaniu, urzadzonem przez oficerskie Towarzystwo strzeleckie i mającem się odbyć w dniach 31. maja, 13. i 28. czerwca, 12. i 26. lipca i 9. sierpnia, każdego dnia o 5-tej godzinie popołudniu. Regulamin można przejrzeć u p. A. Dzikowskiego

Posiadzenie wydziału Towarzystwa łowieckiego z d. 19. maja 1990. Obecni: Zastępca przewodniczącego, Ordynat Czarkowski-Golejewski, członkowie wydziału pp. ks. Lubomirski, Klusik, Krogulski, Piegłowski, Miziewicz i syndyk Dr. Sołowij. Po wysłuchaniu sprawozdania o ruchu członków i stanie funduszów Towarzystwa, referuje Dr. Sołowij sprawę niedokładnego przestrzegania przez władze przepisów ustawy łowieckiej. Sprawę tę uchwalono przedłożyć walnemu zgromadzeniu, podczas zjazdu łowieckiego odbyć się mającemu, z wnioskiem wybrania i wysłania deputacyi do JE. p. Namiestnika i JE. p. Prezydenta Tchórznickiego, z prośbą o zaradzenie złemu. Uchwalono następnie uprosić na referenta sprawy założenia związku Towarzystw, p. Leona Krobickiego. Do komisyi dla rewizyi zamknięcia rachunków i preliminarza zaproszono członków wydziału, pp. Goralczyka i Szczerbickiego. Uchwalono rozpisać konkurs na nagrody imienia hr. Józefa Potockiego dla służby łowieckiej, odznaczającej się przy pełnieniu swoich obowiązków, a mianowicie chwytaniu kłusowników i ochronie zwierzyny. Na cel ten wyznaczono odsetki funduszu przez hr. Józefa Potockiego ofiarowanego kwotę 60 koron — do tego dołączono kwotę 50 K. na ten cel przez delegata p. Lanikiewicza nadesłaną i kwotę 40 K., doręczoną przez p. hr. Mycielską, a uzyskaną z grzywny za zabicie kozy. Fundusz tegoroczny do rozdziału przeznaczony będzie zatem wynosił razem 150 koron. Do komitetu urządzającego zjazd łowiecki zaproszono pp. Witolda Korytowskiego, jako przewodniczącego, następnie pp. hr. Bielskiego, Hamerskiego, Klusika, Krogulskiego, ks. Lubomirskiego, Miziewicza, Piegłowskiego, hr. Sołowija i hr. Szembeka. Komitetowi temu pozostawiono decyzyę, czy strzelanie odbyć się ma rano, czy popołudniu d. 25. czerwca. Na zapytanie ck. Starostwa w Przemyślu o opinię w sprawie zamknęcia polowania na gruntach gminy Przemyśl na lat dwa, uchwalono oświadczyć się za tem zamknięciem. Na tem zakończono posiedzenie.

Komitet zjazdowy uchwalił, o czem już w artykule wstępnym czytelników naszych zawiadomiliśmy, że strzelanie popiswe odbędzie się d. 25. czerwca popołudniu. Oprócz tego powziął komitet kilka uchwał w sprawie zmian w regulaminie strzelania, co także podaliśmy już w wymienionym wyżej artykule.

ROK ZAŁOŻENIA 1872.

C. k. uprz. pierwsza austr. 15—11 –?

FABRYKA KONSERW ZUPOWYCH

Zygmunta Ruckera, we Lwowie

wyrabia konserwy grochowe, kminkowe, soczewicowe itd. w kostkach obliczonych na jedną porcyę zupy. Znakomity i bardzo tani posiłek na polowania, wycieczki itd. Sposób przyrządzania szybki i wygodny. Wysyłka na prowincyę odwrotną pocztą. 10 sztuk **20 ct.**, 100 sztuk **1 złr. 75 ct.**

Lwowska filia

Tow. wzjemnego kredytu w Krakowie

gmach Asekuracyi krakowskiej

we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 18.

przyjmuje

WKŁADKI

i oprocentowuje je po $4^{1}/_{2}$% od sta rocznie.

65—22—?

Do 2.000 koron wypłaca bez wypowiedzenia.

Zakupujemy bydło

chude, zdatne do opasu, jako to: woły lżejsze i cięższe i krowy.

Mniejsze sztuki w ilości najmniej 28, cięższe 24 sztuk, taką bowiem tylko ilość opłaca się wagonować. Gospodarstwa nie posiadające takiej ilości, łączyć się mogą z sąsiednimi i tym sposobem dopełnić brakującą do wymaganej liczby ilość sztuk. Sprzedający nam bydło uzyskają za towar odpowiednią cenę i unikną wyzysku przez drobnych pośredników handlarzy. W ofercie należy podać wagę każdej sztuki (po 24 godzinnym poście) w przybliżeniu wiek i cenę. Pośrednictwo wykluczone.

Zarząd dóbr Żurawno

5—? poczta i telegraf w miejscu.

Julian br. Brunicki

w Podhorcach p. Stryj

poleca 6—6

Owsy

Kartofle

Drzewka

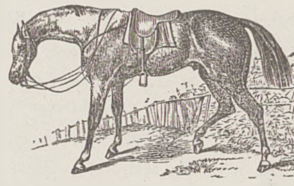
Krzewy

owocowe i ozdobne.

Narzędzia ogrodnicze.

Cenniki darmo i opłatnie.

Proszę powołać się na „Łowca“.



MICHAŁ WALICHIEWICZ

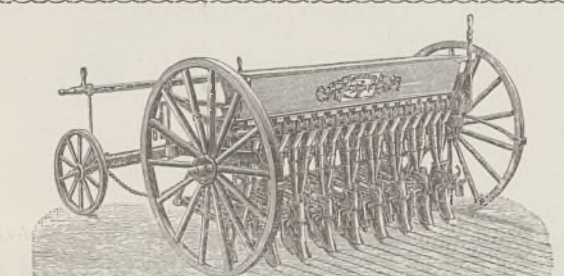
we Lwowie, ul. Kopernika

rok założenia 1863

111—14—24 poleca swój

SKŁAD i PRACOWNIĘ

wszelkich wyrobów wchodzących w zakres rymarstwa, siodlarstwa i batożnictwa. Wszelkie zamówienia uskutecznia podług najnowszych wymagań. Przyjmuje również wszelką reperacyę i utrzymuje stale na składzie **mydła i tłuszcz do konserwowania skór**, jakoteż **lakier** do odświeżania i odnawiania tychże.



CLAYTON & SHUTTLEWORTH

we Lwowie, ulica Gródecka 22

polecają na zbliżający się sezon wiosenny swoje nieprześcignione

patentowane Columbia-Drill i szerokorzutne siewniki

Schlöera rozsiewacze nawozu

uniwersalne stalowe pługi, brony, walce, plewniki konne itp.

oraz zapraszają do zwiedzenia obficie zaopatrzonego magazynu składowego.

Zamówienia **na parowe garnitury młocarniane**, a także i na **konne garnitury młocarniane** upraszamy nam już teraz nadsyłać, gdyż późniejsze zamówienia, jak to w minionym roku było, nie będą mogły być w należytym czasie wykonane.

Illustrowane cenniki gratis i franco.

6—8

NOWO OTWORZONY

Oddział Meliorocyjny

lwowskiej Filii

Banku gal. dla handlu i przemysłu

ulica Jagiellońska l. 3

wykonuje wszelkie prace melioracyjne, jako to: zdjęcia planów, wygotowywanie kosztorysów do drenowania pól, nawodnienia i odwodnienia łąk, budowy rowów, kanałów, dróg, szos, kolejek itp., i poleca się do praktycznego przeprowadzenia powyższych prac. Finansowanie uskutecznia się podług każdorazowej szczególnej umowy. W razie już gotowych planów nastąpić może na podstawie tychże wykonanie pracy.

Dyrekcya.

5—16

W. PRIMUS i S. IGLICKI

we Lwowie

ulica Jagiellońska l. 12.

12—24

polecają swój bogato zaopatrzony

Magazyn materyj na meble, portyer, firanek do okien,

dywanów, chodników i dekoracyj pokojowych

niemniej w wielkim wyborze

kapy na łóżka i serwety na stoły; meble do salonów, sypialń, jadalni i męskich pokoi

TAPETY.

Własna pracownia tapicerska.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hajacińskiego.